

Poświęcone Fatimie,
Błękitnookiej Cygance

*Jakże trudno napisać jakiekolwiek słowo
Każde jakby szukało swojego miejsca w puzzlach*

CZĘŚĆ PIERWSZA

Schytek rodziny Romiciów

1.

Dubrownik, lato roku 1968.

Ogród na Posacie, Dolne Kono

– W ogrodzie rosły kiedyś dwie palmy. Wysmukłe i chude. Można je było zobaczyć na panoramicznych fotografiach przedstawiających widok na Pile i twierdzę Minčetę – zaczyna stryj Đorđe.

Siedzi na wiklinowym krześle obok stolika, na którym stoją dwie filiżanki kawy, najnowsze wydanie belgradzkiego dziennika „Borba”¹, a na nim popielniczka, drewniane pudełko z cygarami i zapalniczka. Po przeciwnej stronie, z notesem w ręce, tkwi młody dziennikarz z Belgradu.

– Jedna tam w rogu przed świerkiem, a druga bliżej muru – pokazuje palcem na puste miejsca w ogrodzie. Dziennikarz odwraca się i spogląda we wskazanym kierunku, ale nie widzi nic poza ubitą czerwoną ziemią.

– Tuż obok tamtej palmy, która była bliżej muru, stała kiedyś Jovana. Zapamiętałem ją w momencie, w którym właśnie przestaje się bawić – ciągnie Đorđe, sięgając po cygaro z pudełka. – A kilka miesięcy wcześniej, gdy jeszcze toczyły się walki w mieście, w tym samym miejscu zjawił się jakiś żołnierz. Dopełzał, by wyzionąć ducha.

Dole odpala zapalniczkę, przykładając ją do cygara i czeka, aż chłopak zanotuje coś w notesie.

– Niemiec. A ona obok palmy. Stała i odpoczywała po dziecięcych psotach w ogrodzie. Rozbawiona, spocona. Ni to dziewczynka, ni dziecko. Była najpiękniejsza z sióstr. Pięknem mogła się równać tylko z Romanem. A Niemiec wszedł do ogrodu, by umrzeć. Wczesnym rankiem zostawił ślady

¹ „Borba” – biuletyn Komunistycznej Partii Jugosławii, a następnie gazeta wydawana w Belgradzie. Najbardziej wpływowe medium w komunistycznej Jugosławii, uznawane za oficjalny głos władzy.

krwi przy grządce, o tam, gdzie rosną pomidory. Upadł obok palmy. Gdy po południu rozeszły się wieści, że nasi wyzwolili miasto, dziadek Kiko odważył się podejść do zwłok, a za nim przydreptała dzieciarnia – Roman, Tekla, Ana i Jovana. Kiko wyciągnął mauzera z kabury. Nie wiem, co się z nim później stało. Wtedy przyszła Ai i rozgoniła dzieci. Zajrzeli mu do kieszeni. Dokumenty, marki niemieckie, zdjęcie żony lub narzeczonej. Nie pamiętam, czy Kiko później posłał list do Niemiec. Był to piękny trup – mówiły dzieci. Elegancko ostrzyżony, bez czapki, którą pewnie zgubił gdzieś w Dolnym Konalu. Promień słońca rozświetlił mu kark i potylicę. Rzadkie blond włosy. Dzieci nie mogły się nadziwić, patrząc na martwego człowieka. Ai ich odganiała, ale i tak wracały.

– Czy to są wnętrzności? – pytała Ana.

Zabrali go później i zakopali na cmentarzu Boninovo, w rodzinnym grobowcu. Kryptę zalali zaprawą murarską.

Dole przestaje mówić i zaciąga się. Patrzy w dal, za twierdzę Lovrijenac, na otwarte morze, które rozplýwało się w letniej mgle. Morze było puste, jakby nagie, bez statków i barek.

– Kto wyciął palmy w ogrodzie Romiciów? – pyta dziennikarz.

Głos ma twardy, nieco nawet – jak na takiego młodziana – szorstki, pragnący zakłócić te kilka sekund ciszy, która jakby trwała latami. Setkami lat. Stryj Đorđe wciąż patrzy w dal.

– Palmy ścieli, gdy zmarł *šjor*² Kiko. Zleciła to Ana, najstarsza z sióstr. Ściął je ten jej Haris – ten pochodzący z miasteczka Gacko we wschodniej Bośni. Wyrąbał, wyrwał, zalał naftą. Zrobiła to ze złości, gdy została sama w domu. Była zawsze zazdrosna – o wszystko, również o palmy. Jak zobaczyłem, co zrobiła, chciałem ją zabić. Tego czasem nie zapisuj.

2 *Šjor* – z weneckiego *sior* w znaczeniu pan. Choć w Dubrowniku używano rodzimego słowa *gospar*, to pod wpływem językowych odmian z Dalmacji – przede wszystkim z wyspy Korčula i półwyspu Pelješac – można było też spotkać to romańskie zapożyczenie. Na chorwackim wybrzeżu Adriatyku, za sprawą wielowiekowej koegzystencji etnosów słowiańskich i romańskich, doszło do wzajemnych wpływów różnych odmian języka włoskiego i chorwackiego. W powieści, przede wszystkim w dialogach, pojawiają się wyrazy z dialektu weneckiego lub z literackiego języka włoskiego.

Młodzian poprawia okulary na nosie i dalej notuje. Stryj Dorde odkłada cygaro do popielniczki.

– Jovana była najpiękniejsza. Podcięła sobie żyły w wannie, w wieku lat siedemnastu. Było to pewnego lata, ciężkiego lata, roku pięćdziesiątego trzeciego. Ai tego nigdy nie przeboleła. Całkowicie się załamała. A kto by mógł to przeboleć. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czemu to zrobiła. Ai też nigdy nie doszła do siebie. Znalazła ją, swoją własną córkę, w łazience, w wannie pełnej gęstej i lepkiej krwi. Jovana była piękna, najpiękniejsza, chodziła do szkoły muzycznej. Jej nauczycielem była Gracio. Zoran kupił jej fortepian, wstawiliśmy go do salonu. Jakiś szwedzki, zapomniałem, jaka marka. Koncertowy. Sprzedali go natychmiast po śmierci Jovany, żeby Ai na niego nie patrzyła.

– Czy macie fotografię Jovany?

– Mam, w albumie. Zaczekaj – mówi Đole i z trudem przesuwa swój zajęty gangreną kikut. – Ana! Ana!

Nagle bezszelestnie jakiś łaciaty kot wyskakuje jakby z jakiejś bajki na okno obok wazonu z kwiatami. Z domu nie wychodzi Ana, tylko Katarina.

– Kacia, przynieś mi album rodzinny – nakazuje Đole.

Kot przebiega przez werandę, usadawia się pod drewnianą ławką i zaczyna lizać brzuch różowym językiem. Katarina wkrótce wraca z albumem w skórzanej okładce pod pachą. Kładzie go na stół.

– Dziękuję, Kaciusza – mówi Đole.

Bierze album, przerzuca kilka stron i pokazuje chłopakowi. Na czarnym tle dwie fotografie Jovany. Dziennikarz bierze album i zaczyna oglądać.

Przy wejściu do miasta, na Pilach, daje się słyszeć dźwięk tramwaju. Dochodzi głos motorniczego.

– Odjeżdża, Pile – Batała – Zatoka Lapad! Odjeżdża, Zatoka Lapad!

Na małej, czarnobiałej fotografii z ząbkowanymi krawędziami to Jovana, dziesięcioletnia, w jasnej sukience. Gdzieś w plenerze, między drzewami, chyba młodymi sosnami. Może

gdzieś na wyspie Lokrum. Dziewczynka z czarnymi warkoczami, o delikatnym ciele, uchwyconym w momencie wyrażającym niepokój Hermafrodyty. Druga fotografia, na tej samej stronie, ale nieco niżej po prawej, to jej portret. Twarz drobna, może lekko szeroka, oczy marzące, nieco skośne. Chłopak kładzie album na stół. Stryj Đole dopija ostatni łyk kawy.

– Jovanę dwa razy zapisywali do szkoły – ciągnie. – Pierwszy raz, gdy miała siedem lat. Nie mogła się przyzwyczaić. Wyrzucała przez okno piórniki, tabliczki, zeszyty, ech, nawet ładowała je do pieca. Nie dawała spokoju innym dzieciom, więc ją Ai wypisała. Dziwili się ludzie, a jednak Ai ją zabrała. Okazało się później, że była to dobra decyzja. W kolejnym roku Jovana wróciła do szkoły, przyniosła same piątki, była najlepsza w klasie.

Tu nagle Đole zatrzymuje się i spogląda za twierdzę Lovrijenac.

– Ana! Ana! – woła nagle.

Nie wychodzi Ana, tylko Katarina.

– Przynieś nam wódkę.

– Już nie ma.

– Nie ma już tej moskiewskiej?

– Nie ma.

– To rakiję. I trochę wody.

– Dobrze. Już.

Katarina wraca do domu.

Dzwoni tramwaj i ospale rusza w kierunku szpitala, przemierzając się między platanami i palmami na Pilach. Gdy pnie się pod górę, obok hotelu Imperial, tuż przy cukierni i przy tarasie, na którym siedzą leniwi turyści, jego odgłos nagle się rozplywa.

– Tyleż śmierci w tej rodzinie. Cóż to za klątwa nad nami ciąży? Kto nas przeklął? – mówi do siebie Đole. – Leżała jak zarodek zwinięty w kąpieli we własnej krwi. Wyciągnęli ją Zoran i stary Kiko. Ech, udało jej się za pierwszym razem.

Chłopak poprawia okulary na nosie i nie podnosząc oczu z notesu, coś tam gryzmoli. Katarina przynosi rakiję o złotym

kolorze w karafce z wąskim gardłem i dwa kieliszki. Kładzie je na stole bez słowa i zabiera filiżanki po kawie. Dole nalewa.

– No to na zdrowie! – mówi.

– Wasze zdrowie!

Dole stuka się, wzdycha i z trudem wlewa w siebie zawartość kieliszka. Chłopak wypija połowę.

– Ech, ale grzeje! – mówi.

– Tak – potwierdza chłopak.

– Zmieszały się serbska, chorwacka i japońska krew. Nie mogło się to dobrze skończyć – mówi Đorđe i nalewa raz jeszcze. – Tego ostatniego zdania nie zapisuj – dodaje.

Chłopak posłusznie kiwa głową i przekreśla coś w notesie.

DRZEWO GENEALOGICZNE RODZINY ROMICIÓW

Uglješa Romić – Marija Martinović

(Nikola „Kiko” Martinović, ojciec Mariji)

Zoran, Đorđe i Koviljka (dzieci)

Zoran Romić – Ai Suzuki

Ana, Tekla, Roman, Jovana (dzieci)

Roman Romić – Ivana Herceg

Nikola i Milena (dzieci)

Nikola Romić – Marijana Romić Grzilo

Dole wzdycha raz jeszcze.

– Widzę rzeczy, których już nie ma. Wysokie, smukłe palmy, martwego Niemca, Jovanę, która przestała się bawić i opiera ramię o chropowatą korę palmy – mówi Dole.

Chwilę później Katarina przynosi kule. On z trudem się podnosi.

Obszerny artykuł o Đorđu Romiciu, życiu i dziele wybitnego rewolucjonisty i ochotnika z wojny hiszpańskiej, ukazał się w belgradzkim dzienniku „Borba” jesienią tego roku.

2.

Najlepszą przyjaciółką Tekli była Luena Teuta. Chodziły razem do gimnazjum, a stały się sobie bliskie na plaży Banje w roku 1953, kiedy Tekla skończyła dwadzieścia lat. Cała rodzina zawsze kąpała się na plaży u Šulicia, ale Tekla przeszła na Banje. Z powodu Lueny. Pojawiały się na plaży wcześniej rano, gdy jeszcze nie było tłumów, szybko przebierały się w kabinach, wchodziły do morza – jedna obok drugiej, ramię w ramię. Stały z gęsią skórą na płyciźnie, zanurzone do pasa, wokół którego jak jaszczurki wiły się fale, by potem rzucić się na głębinę. Wynurzały się z podniesionym czołem i mokrymi włosami ułożonymi na potylicy, a następnie płynęły do boi. Tekla pływała szybciej, kraulem, więc wracała pierwsza, wychodziła i podawała rękę Luenie. Kładły się na mokrej drewnianej boi, jedna w niebiesko-białym kostiumie, druga w szarym, dygocąc na porannym wietrze, który rozczesywał taflę morza. Następnie rozmawiały – o życiu, o muzyce, o jazzie, o bebopie. Pewnego dnia odważyły się popłynąć na wyspę Lokrum. Płynęły ponad godzinę, z przerwami, podczas których odpoczywały, kładąc się na plecach i pozwalając, by unosiły je morskie prądy. Osuszyły się na brzegu, eksponując swoje ciała na słońcu, na chropowatych skałach, a następnie ruszyły w głąb wyspy. Spacerowały odludnymi ścieżkami przez las, unikając zabudowań i stróża. Towarzyszyły im nachalne śpiewy cykad. Tu i ówdzie natrafiały na roztrzaskane włoskie i niemieckie skrzynie na amunicję, leżące tutaj od wojny. Na nagich skałach nad otwartym morzem Tekla pierwszy raz dotknęła Luenę inaczej niż dotąd. Delikatnie przesuwiała opuszkami swoich palców po jej skórze, miękko przemieszczając się po klawiaturze jej żeber. Nagle złapała ją za nadgarstki i przyciągnęła do siebie. Nigdy wcześniej nie czuła takich emocji, tak gwałtownego pragnienia. Całowały się nieumiejętnie, ale namiętnie i długo. Tekla była dobrze zbudowana, typ sportowca, o skośnych metylickich oczach. Luena była krucha, o nadzwyczaj delikatnych

stawach, ze sterczącymi żebrami. Stworzyły związek pełen zaufania i głębokich emocji, a jednocześnie cielesny. Być może była to miłość, bodaj nieświadoma, ale właśnie dlatego uczciwa, niemal absolutna. A miłość zawsze żąda całkowitego oddania. Jednakże sposób, w jaki się dotykały i z czasem robiły inne rzeczy, był nie do przyjęcia dla otaczającego je świata. Musiały się ukrywać, jakby chodziło o śmierć i życie, niemalże tak. Był to czas, kiedy za taką miłość można było skończyć w więzieniu.

Tekla była wprawna w rzeczach powszechnie uznawanych za męskie. Gdy pewnego razu Zoran kupił motocykl z przyczepą, Tekla natychmiast nauczyła się jeździć. Zakłócała spokój w dzielnicy Boninovo, wyprzedzała tramwaje, ryzykownie mijając przechodniów. Raz omal nie wpadła w przepaść. Szczęśliwie silnik zepsuł się w momencie, gdy właśnie dodawała gazu na zakręcie obok willi Čingrija. Zostawiła motocykl na krawędzi przepaści, tuż obok wysokiej, stuletniej agawy. Wróciła do domu i poprosiła Zorana, żeby po niego poszedł. Tego lata umarła Jovana. Po tym zdarzeniu Zoran całymi dniami nie wychodził z domu. Tylko Ai miała siłę, by wyjść na ulicę i zrobić zakupy na bazarze. Do Zorana zaczęli przychodzić przyjaciele i kumple, żeby go pocieszyć i wesprzeć. Dopiero kapitanowi Armii Ludowej Rafo Medeliciowi, zwanemu Bonasera, udało się go namówić, by wyszedł na spacer z psem do parku Gradac. Zoran pierwszy raz poszedł na spacer z Cicibelą, w skrócie Belą, szarym rosyjskim dogiem.

Tekla, którą bardzo dotknęła śmierć siostry, szybko nauczyła się prowadzić samochód. Ten sam kapitan Bonasera, by „zrobić dziecku przyjemność”, pożyczył jej wojskowego gazika. Tekla obmyśliła plan. Zapakowała Luenę i powiedziała, że jadą na wycieczkę do Cavtatu, a w rzeczy samej planowały jechać aż do Igle i Herceg Nowego w Czarnogórze. Tam mogły być anonimowe. Mogły spędzić wspólnie miłe popołudnie.

Pojechały we dwie, same. W drodze do miejscowości Župa, nieopodal przysiółka Mišici, z lasu na Pelegrino ktoś

otworzył ogień z karabinu maszynowego do gazika, sądząc, że prowadzi go Bonasera albo jakiś inny oficer. Byli to pewnie czetnicy z miejscowości Zagradinje w sąsiedniej Hercegowinie, którzy latami kryli się, czekając na okazję, aż ich ktoś statkiem przerzuci do Włoch. Pocisk trafił Luenę, przebijając jej pierś. Zmarła na miejscu, a Tekla wyszła bez obrażeń.

Pogrzeb Lueny Teuty odbył się na cmentarzu Boninovo w części, w której znajdują się groby albańskich katolików. Tekla wpadła w depresję i zamknęła się w domu. Zoran i Ai byli zatroskani. Kolejna tragedia w rodzinie po śmierci Jovany. Po tygodniu jednak Tekla zeszła do salonu, miała ogoloną na jeża głowę.

– Idę na plażę – powiedziała.

Nowa fryzura wywołała w domu konsternację.

– Ona chciałaby być mężczyzną – Zoran później powiedział do Ai.

Po tragicznej śmierci Jovany, Zoran wybaczał Tekli wszystko, we wszystkim jej ustępował. Gorąca krew Romiciów mogła ponownie pulsować.

Tekla zapragnęła latać samolotem. Po śmierci Lueny nie mogła ścierpieć niczyjego dotyku. Był dla niej jak kontakt z zimnym węzem. Chciała odejść daleko, jak najdalej, zdobyć niebo. Rozpłynąć się w białych przestworzach, w bezkresnej abstrakcji. Jak się rzekło, tak się stało. Zoran zabrał ją na Konavoške polje, na południe od miasta, gdzie lądowały samoloty i szybowce. Gdy Tekla miała swoje pierwsze lekcje latania, dog Cicibela zagryzł na polu owcę niejakiego Paska Kesovija z Pičeta, który z uporem przyganiał stado w pobliże lądowiska. Zachowała się jedna fotografia z września tego roku, jak Tekla stoi w skórzanej kurtce pilota, z insygniami porucznika Armii Ludowej na pagonach. Szeroka twarz o czarnych metyskich oczach (podobieństwo do Ai), krótkie blond włosy (do Zorana). W pełnych ustach trzyma niezapalonego papierosa, pewnie marki Ljetne igre. W tle widać szybowiec z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach, a na dalszym planie – zbocze Sniježnicy i skrawek nieba.

Niebo. Zostało jej już tylko niebo. Uczuciowe życie Tekli Romić było skończone. Chciała umrzeć, ale nie wiedziała jak. Zarzucała sobie, że nie ma wystarczająco odwagi jak Jovana, ale chyba nie była na tyle szalona. Lub była szalona, ale inaczej. Nie tolerowała żadnej innej kobiety. W każdej próbowała dostrzec Luenę, zobaczyć jej ręce, nadgarstki, plecy, usta, brwi, oczy. Ale Luena nie żyła. Tekla nie miała przed sobą żadnej przyszłości. Tylko niekończący się ból. Była uzależniona od Lueny, więc jej życie nie miało sensu. Życie bez przyszłości. Kiedyś, a było to w kolejnym roku, gdy leciała nad Boką Kotorską, zapomniała się nad Krivošinjскими górami i nie spostrzegła, że zaczyna jej brakować paliwa. Wracала, unosząc się na prądach powietrznych, ale w pobliżu lądowiska, nad Mrcinem i Vodovađom, jej samolot rozbił się. Najpierw ścieła cyprys na szczycie w pobliżu wiejskiego cmentarza, a następnie odwróciła lot maszyny i na szczęście spadła na koronę stuletniego dębu na podwórzu domu Fiorović, wbijając się w jego dach. Znów dopisało jej szczęście. Ledwie kilka siniaków, zadrapań i lekkie złamanie nogi. W przeciwieństwie do Jovany była niezniszczalna. Pisany był jej inny los. Dziewięć żyć kotów. Gdy zdjęta gips, Zoran zapisał ją do szkoły ekonomicznej w Rijece. Nie mógł już znieść jej wyczynów.

3.

– Romić! – mocno przepalony, chropowaty głos, rozchodzi się po pustych korytarzach budynku administracyjnego osobistej ochrony marszałka Tity w belgradzkiej dzielnicy Topčider.

Kadet Romić Roman, w galowym mundurze, stawiał się do raportu w gabinecie, trzymając pod ręką czapkę. Major Kustura stał przy oknie, spoglądając na podwórze. Sprawiał wrażenie zamyślnego.

Roman zasalutował po partyzancku. Ściśnięta pięść lewej ręki przy skroni. Ale na próżno, bo major nawet nie spojrzał.

Romić spokojnie stał na baczność, a major ciągle spoglądał na podwórze. Przez kilka sekund nikt nawet nie drgnął. Można by było usłyszeć muchę, gdyby była w gabinecie. W końcu major przemówił:

– Pijaństwo, nierząd, rozbijanie się po piątym piętrze Akademii Wojskowej z butelką rakii w ręce, bijatki w kasynach Somboru... i wszystko byłoby w porządku, Romiń, gdyby w tej bijatce nie padł ofiarą twój towarzysz – wyrecytował dość spokojnym głosem major Kustura, dalej patrząc gdzieś na podwórze i obserwując apel żandarmerii wojskowej.

Roman czuł napięcie. Cisza przed burzą.

– Ukropina Dražen, kadet ochrony Tity, został zraniony nożem w kasynie, a żołnierze mają absolutny zakaz przebywania w kasynie – ciągnął major.

Major był wysoki i chudy, żyłasty. Na twarzy miał zmarszczki, a nad ustami jakąś bliznę. Odwrócił się do Romana i omiótł go wzrokiem od stóp do głów.

– Co masz na ten temat do powiedzenia, Romiń?

– Towarzyszu majorze, we trzech – kadeci Kabiljo, Ukropina i ja – wyszliśmy wieczorem na miasto. Wcześniej już popijaliśmy w koszarach. Towarzysz Kabiljo zaproponował, żebyśmy poszli do jakiejś knajpy...

– Milcz! – krzyknął nagle major. – Milcz Romiń, bo cię wysłę na Nagą Wyspę!³

Roman natychmiast zamilkł i dalej stojąc spokojnie na baczność, patrzył przed siebie.

– Czemu nie pomogłeś swojemu towarzyszowi, Romiń? – zapytał spokojnie major po chwili przerwy.

3 Naga Wyspa (Goli otok) – niezamieszkała wyspa na północnym Adriatyku, na której od 1949 roku znajdował się owiany złą sławą obóz dla więźniów politycznych, w pierwszej kolejności zwolenników lub domniemyanych zwolenników Stalina. Najbardziej znane miejsce dowodzące zbrodniczych metod stosowanych przez komunistyczny reżim Josipa Broza Tity.

– Nie mogłem. Właśnie ruszyłem, gdy nagle ktoś zdzielił mnie prętem w kolano, a potem w głowę. Dalej już nic nie pamiętam – powiedział Roman.

Major Kustura spoglądał na niego z uwagą, wpatrując się w każdy detal na jego twarzy. Na jego przycięte, lekko falujące włosy, świeży siniak pod okiem, źle ogolone policzki.

– Rومیć, ty kurwo jedna, dostaniesz dwadzieścia jeden dni ciupy za łamanie dyscypliny wojskowej. Ciesz się, że cię nie posłałem pod sąd wojenny. Jak tam cię wezmą w obroty, gwarantowane dziesięć lat odsiadki. Zrozumiano?

– Zrozumiano, towarzyszu majorze.

– Gównu ty rozumiesz – odrzekł major. Usiadł za biurkiem i zaczął pisać nakaz aresztowania.

– Wejść! – krzyknął po chwili.

Do gabinetu wpadł porucznik Miftari, ogorzały na twarzy, w dopasowanym mundurze. Za nim dwóch żandarmów.

– Do paki z nim – rozkazał major Kustura. – Dwadzieścia jeden dni, tylko chleb i woda – dodał, jak już byli przy wyjściu.

Odsiedział Roman te trzy tygodnie w areszcie. Nie martwił się za bardzo. Wiedział, że Zoran to ważna figura w Armii Ludowej, żeby go ot tak wysłali przed sąd wojenny. Nigdy jednak nie można było być pewnym, co z tego wyniknie, bo różne intrygi dzieją się na szczytach hierarchii wojskowej.

Mimo tej burzliwej nocy i szalonej imprezy, która do jego biografii dopisała bardzo męski wątek, Roman Rومیć, był wciąż prawiczkim. Tego feralnego wieczoru, kiedy ucierpiał jego towarzysz, poderwali wprawdzie jakieś panienki, ale na końcu nic z tego nie wyszło, bo byli zbyt pijani i zaczęła się zadyma. Próba rozdziewiczenia trzech kadetów – Romana, Kabilji i Ukropiny – niechlubnie się nie powiodła. Na szczęście nikt nie poznał prawdziwych przyczyn bijatyki, więc ich czyn w koszarach uznano za bohater-ski. Ukropina po dziesięciu dniach wrócił ze szpitala – jak nowo narodzony.

Wszyscy kadeci chwalili się swoimi osiągnięciami seksualnymi, ale ile z tego było prawdy, trudno powiedzieć, ponieważ przyznanie się w wojsku do dziewictwa było równe samobójstwu. Rozdziewiczenie Romana Romicia dokonało się wkrótce, i to w bardzo osobliwych okolicznościach.

Gdy wraz z kompanami z oddziału, kadetami Pervanicem i Kabiljom, spacerował w odświętnym mundurze po molo w Zemunie, zwrócił uwagę na młodą Cygankę. Spodobała mu się, a on jej. Od słowa do słowa, ona go wzięła, przeprowadziła przez pusty zemunski bazar i zawiodła na jakieś mroczne podwórze. Tam się kochali. W kabinie starej wojskowej ciężarówki, bez opon na felgach, pozostawionej w kałuży na pastwę losu.

Silnik odpal, siedzenia wojenne

Aj, aj, aj, siedzenia wojenne...

Ludzie, którym dziewictwo skradną Cyganie, żyją później pod jakąś dziwną, cygańską gwiazdą.

Och, och, och, siedzenia wojenne...

Gdy rzecz zakończyli i gdy Roman Romić po raz pierwszy włożył tam to, co trzeba, nic spektakularnego, po prostu rach ciach, dziewczyna wzięła go za rękę i wyciągnęła z tej podłej kabiny. Przystanęła w centralnej części podwórza, po którym migotały blade cienie. Podeszła do krzywego i skarłowaciałego drzewa, rosnącego przy rozpadającej się ruderze, i coś zerwała. W świetle księżyca Roman zauważył niewielkie jabłko w jej dłoni. Dziewczyna wytarła je o sukienkę.

– Masz nóż? – zapytała.

– Nie mam – odpowiedział Roman.

– Ja mam – powiedziała i wyciągnęła jakiś mały nożyk.

Rozcięła owoc i dała mu jedną połowę.

– No, bierz.

Nieco zdziwiony, Roman wziął. Jabłka rozplływały im się w ustach.

Wyszli na ulicę przez ciemne przejście.

– No... *Yepash tuke, yepash mange* – powiedziała dziewczyna. Twarz miała okrągłą, rozświetloną jak kandelabr.

– Proszę? Co mówisz?

– Jabłko. Pół dla ciebie, pół dla mnie.

Roman poczuł gorycz w ustach. Jego połówka była robaczywa. Odgryzł zgniłą część i szybko ją wypluł.

Tak więc ludzie, którym Cyganie odbiorą dziewictwo, żyją później pod jakąś dziwną gwiazdą. A jeśli do tego Cyganie zjedzą z wami na pół jabłko, wtedy życie staje się dziwaczne. Bo to oznacza, że przeszłicie na tę drugą, ciemną, cygańską stronę.

I że nie ma już dla was ratunku.

4.

W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym, mając lat dwadzieścia, Zoran Romić – młody i ambitny przedstawiciel pewnej jugosłowiańskiej firmy eksportowo-importowej – jako członek jakiejś delegacji – wyjechał na Daleki Wschód. Dotarł do Kochinchiny, Macao i Hong Kongu, by podpisać umowy handlowe oraz zamówić egzotyczne towary, takie jak szlachetne drzewo – tęczynę, bambus i inne. Po miesiącu handlowania i negocjowania z władzami kolonialnymi mniejsza część delegacji oddzieliła się w Hong Kongu i pod pretekstem eksploracji technicznych innowacji w przemyśle, zwłaszcza silników samochodowych i telefonów, wsiadła na statek do Japonii. Był w tej grupie również Zoran.

Przez trzy dni prowadzili rozmowy z przemysłowcami w Jokohamie i okolicy, a dzień czwarty mieli wolny. Zoran skorzystał z okazji i udał się do centrum stolicy. W pociągu z Jokohamy do Tokio pierwszy raz zobaczył Ai.

Siedziała naprzeciwko. Ubrana była w stylu zachodnim – w białą koszulę i ciemną sukienkę. Na dłoniach miała białe jedwabne rękawiczki, długie aż do łokcia. Niewielki parasol obrąbiony koronką leżał obok. Był powalony, wręcz hipnotycznie oszołomiony jej pięknem. Szczególnie zachwyciły go jej czarne, głęboko osadzone i nieprzeniknione oczy. Czuł jakiś zew, promieniejący od niej i niemal wzywający: No, zagadajże, zwróć się do mnie!

I on nagle, w porywie jakiegoś nieokreślonego stanu półsnu, ośmielił się ją zapytać o jakiś adres. Odpowiedziała mu po angielsku, co było wówczas w Japonii rzadkością. Rozmowa zaczęła płynąć.

Wysiedli gdzieś w mieście i przesiedli się do Asakusy. Stamtąd ruszyli piechotą. Spacerowali i rozmawiali jak starzy znajomi, których dzieliło wiele lat rozłąki. Chodzili po starej części miasta, między drewnianymi domami, wąskimi uliczkami, po których jeździły niewielkie tramwaje. Dzień był duszny. Towarzyszył im śpiew tysiąca cykad z koron drzew rosnących w niewielkich ogrodach i parkach.

Na werandzie pewnego drewnianego domu stała dziewczyna w czerwonym kimono i grała na skrzypcach. Przystanęli na moment i słuchali. Dziwaczne było to połączenie muzyki z pieśnią cykad i ruchem ulicznym. Wprawiało go to w stan odurzenia, pobudzającego zarazem jasność umysłu. Ruszyli dalej, mijając dzieci wracające ze szkoły, zmęczonych tragarzy, oficjeli, robotników. Ona – młoda i krucha Japonka z otwartym parasolem, on – chudy Europejczyk w przewiewnym letnim garniturze z lustryny, w kolonialnym kapeluszu, który dodawał kilka centymetrów do jego metra dziewięćdziesięciu pięciu. Miała dziewiętnaście lat i dopiero co rozpoczęła studia. Znaleźli się tuż obok świątyni buddyjskiej, przy której rosły wysokie drzewa. W tym całym błogim szaleństwie – nieproszonym, ale jednak wszechogarniającym i świadomym – nie wiedzieli, co robią. Dokąd idą razem? Przecież się nie znają. Dlaczego zachowują się tak, jakby byli od lat starymi znajomymi?

Nieco zmęczeni usiedli na drewnianej ławce pod koroną starego drzewa. Wtedy pierwszy raz nastąpiła cisza, krótka chwila, w której iluzja stworzona podczas nieprzerwanej rozmowy mogła się rozpuścić, zniknąć jak obłoki rozgonione przez wiatr. Nagle, niezupełnie świadomy swojej decyzji, Zoran położył swoją dłoń na jej dłoni. Ai drgnęła, ale ręki nie cofnęła.

– *Konichiwa! Konichiwa!* – pozdrowiły ich grzecznie dzieci wychodzące ze szkoły.

Dzieci ruszyły dalej, nic się nie stało, ziemia się nie zapadła. Dłoń została na dłoni. Korona drzewa spokojnie drgała. Zoran, dodatkowo skuszony, przyłożył swoje usta do jej ust.

Tak zaczął się ich wieloletni związek. Był to niekonwencjonalny, nieco ekscentryczny początek ich długiej i statecznej miłości.

Okazało się, że jej ojcem jest jednym z dyrektorów firmy Nippon Sangyo, która produkowała silniki i inne komponenty przemysłowe. Był to znakomity powód, by zaprosić Zorana na obiad rodzinny jako członka delegacji jugosłowiańskiej. Wówczas poznał pana Suzuki, człowieka starszego z ciemnym pieprzykiem na wysokim czole oraz dwie młodsze siostry Ai. Ich matka nie żyła już od niemal roku. Zmarła w wyniku ciężkiego zapalenia płuc.

Dzięki zrządzeniu losu statek, którym miał wrócić do Hong Kongu, opóźnił się z powodu tajfunu, więc mieli więcej czasu. Pewnego pochmurnego popołudnia Zoran i Ai wybrali się do parku Ueno. Gdy spacerowali pod drzewami wiśniowymi, zaczął padać deszcz i wiać silny wiatr znad oceanu. Schronili się w restauracji, w której zostali do wieczora. Opowiedzieli sobie nawzajem historie swojego życia.

Niemożliwe stało się rzeczywistością. Gdy statek z delegacją jugosłowiańską ostatecznie wypłynął w kierunku Europy, nie było na nim Zorana Romicia. Został w Japonii jeszcze dwa tygodnie.

Były to burzliwe czasy japońskiej inwazji na Mandżurię. Dało się odczuć napięcie, wszędzie – na ulicy, w gazetach,

w radio. Otwarcie mówiono o zajęciu Mandżurii. W mieście widać było żołnierzy wracających z frontu. Nastroje wojenne wzmagaly się. A oni, młoda Japonka i obcokrajowiec, Ai i Zoran, żyli we własnym świecie, opici miłością i szczęściem, niemal bez kontaktu z otoczeniem.

Pewnego wieczoru wzięli udział w shintoistycznym święcie w dzielnicy Shibuya. Patrząc na rozświetlone pochodnie i słuchając dźwięku bębnów, Zoran Romić podjął decyzję.

Następnego dnia, a był to dzień wolny od pracy, wstał wcześniej, ogolił się, ubrał czystą koszulę, założył krawat, metalowym grzebieniem uczesał swoje szarawe włosy i nakremował się. Następnie zszedł do hotelowej restauracji, zjadł śniadanie i zamówił sake. Wyszedł z hotelu i udał się prosto do domu Ai, by poprosić o jej rękę.

Pan Suzuki był w gabinecie. Otwierał listy. Zoran uklonił się, założył za plecami ręce, gdyż wyraźnie mu się trzęsły, i wypowiedział to, co miał na sercu. Pan Suzuki podniósł wzrok, a następnie odłożył nożyk do otwierania listów i wstał.

Długo na niego patrzył swoimi ciemnymi zagadkowymi oczami, by w końcu uklonić się i wyjść z pokoju bez słowa. Zoran nie wiedział, co robić. Czekał. Usiadł w fotelu i nasłuchiwał. Nie słyszał żadnego głosu, nawet najmniejszego szelestu. Jakby nikogo nie było w domu. Po pół godzinie do pokoju weszła Ai w szarym kimono, z serwisem do herbaty.

– Chodź, wypijmy herbatę – powiedziała.

Pokój dzienny był pusty. Ai odłożyła imbryk na stół, a Zoran usiadł. Otworzyła drzwi na oścież. Obserwował ją w napięciu, ale nic nie był w stanie odgadnąć z jej twarzy. Była bez wyrazu, jak przy codziennym spożywaniu zielonej herbaty, a nie podczas zaręczyn. Mimo to nie chciał sam o nic pytać. Czekał, tracąc powoli nadzieję. Gdzie jest? W Japonii. Co to za szalone pomysły? Właśnie poprosił o rękę niemal nieznanomej kobiety. Japońskie społeczeństwo jest konserwatywne, więc może uraził ich tym zuchwałym czynem. Ona wreszcie przygotowała herbatę i uśmiechnęła się.